Nr. 50. We Lwowie dnia 16. grudnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Program Polek.

Warszawa w listopadzie.

Przed kilku tygodniami ukazała się u nas maleńka broszurka pod wspaniałym tytułem: „Program dla Polek". Papier jest cierpliwy, mówi przysłowie i tytuły także, trzeba dodać po przeczytaniu broszurki. Nie znamy autora programu, nie wiemy kto mu dał mandat na kreślenie Programu dla Polek, wiemy tylko, że Program nie odpowiada wcale dążeniom oświeconych i energicznie pracujących dla swego społeczeństwa kobiet polskich, dla których książeczka jest jakby zbiorem oddźwięków dążeń, o których już wróble na dachu świergoczą, nie jest zatem programem, ale jakby niedokładnem, chaotycznem sprawozdaniem.

Powyżej wzmiankowane wady są właściwie jedyną zaletą broszurki, gdyż w naszem położeniu politycznem pisanie i drukowanie Programów jest jednocześnie ich utrudnieniem. Jest bezmyślnieszkodliwą grafomanją, uniewinnianą błogiem mniemaniem, że broszurka dojdzie jedynie do rąk właściwych, a szeroko rozwinięte u nas szpiegostwo nigdy wiedzieć o niej nie będzie?! Na szczęście, ostatni dowód długojęzyczności ojców, czy matek narodu jest dość niewinny. Kobiety polskie, które *nie dawały* mandatu na pisanie Programu dla Polek, pragną właśnie zaznaczyć niniejszem, że w roku tysiąc dziewięćsetnym właściwy dla nich Program miałby o wiele szersze widnokręgi i opierałby się nie tylko na cnotach naszych prababek (których imienia zbyt często nadużywamy), lecz ogarnąłby i te najczystsze płomienie braterstwa, które spalą w ludzkości wszelkiej miary ucisk i przemogą wszelkiego rodzaju moralne morderstwa.

Dzisiaj zaś dla Polek istnieć może w druku tylko dwusłowny Program:

Praca i Milczenie.

Marjan Kochanowski.

Zapomniany poeta romantyk.

(Wyjątek z większej całości).

(Dokończenie.)

Osnową tych wszystkich poezji jest miłość Ojczyzny, która się u poety pokazuje w rozmaitych objawach; miłość ta odnosi tryumf nad wszystkiemi innemi uczuciami, a dla niej wszystko poświęcić, to obowiązkiem każdego. I znowu przenosi nas poeta na Litwę i w wierszu pod tytułem: „Historyczne", przedstawia ofiarę i śmierć w płomieniach ludu, który wraz z swym kapłanem ginie, nie chcąc się na rozkaz cara wyrzec Ojczyzny i wiary ojców. Ofiara jednostki dla zbawienia Ojczyzny, oto treść „Ballady":

„W kwiaty się ubrał Niemen, jak dziewica,
„Po zielonym kobiercu litewskich mknie łanów,

po których obiega dźwięk rogów, twardy, drżący, głuchy", zwiastujący wojnę mieszkańcom zacisznej Litwy. A wajdeloci składają ofiarę na ołtarzach Perkuna, pytając go o radę w niebezpieczeństwie. I Perkun zażądał ofiary jednego, którego śmierć ma Litwie przynieść zbawienie, i

„Nie skończył — już na stosie gore wódz Litwinów...
„A bardy w pieśniach głoszą bohatyra męstwo,
„Krwawy wyrok Perkuna i Litwy zwycięstwo!...

I znów mamy rzewny i cichy obrazek. „W ubogiej izdebce, na ławie drewnianej", legł pojmany wódz powstańców. Straże usnęły, sługa namawia go, by się ratował ucieczką. Lecz on nie chce:

„A może ta miarka krwi mojej, Jehowę
„Przebłaga ostatnia, nie pójdzie na marne...
„Czyż cały nasz naród to kozły ofiarne?...
„A może ostatni dam głowę!...

i został, by umrzeć na Ojczyzny łonie. To „Ostatni wódz". Dotychczas śpiew poety nie był taki żałośny; śpiewał dla Polski, lecz nie chciał jej smucić. Lecz teraz już nie umie utrzymać granic żalu: zdaje się mu, że jest wygnańcem i wieszczem nieszczęśliwego narodu zarazem, i jako jego przedstawiciel idzie po pomoc do innych, by

go bronili. Ale na ziemi niema takich, więc on idzie do bogów. Jednak wszędzie, wszędzie, gdzie zwrócił się tułacz i wygnaniec, zarówno Odyn, jak i inne bogi odepchnęły go słowy:

„głosem jak stu gromów, piekło jęczało w tym krzyku:
„Tu miejsce wolnych! idź precz, niewolniku!...

I gdy nigdzie, nigdzie nie mógł znaleść pomocy, wygnany szedł dalej, jakby mu na czole świeciło „przekleństwo Boże i zbrodnia Kaina“, a wreszcie, gdy już resztki życia z piersi uciekały, wyrwał się z niej, już ochrypłej od bolu i płaczu, jęk ostatni, na jaki mógł się zdobyć poeta:

„Kiedyż, ach, kiedyż, staniemy u kresu,
„Głos, co ukróci hańby krwawe brzemię:
„Koniec mąk waszych — synowie wolności!

I tych synów wolności w następnym wierszu „Niewolnicy“ widzimy pod pogodnem niebem Italji, u wzgórz Apenium, zdala od Ojczyzny, wydających ostatnie swe tchnienie z jej imieniem na ustach.

Pozostaje już niewiele: W fragmencie dramatycznym „Zgon cara“ przedstawił nam poeta śmierć jednego z Aleksandrów z ręki spiskowców. Całą ohydę rządów, niemoralność dworu, podłość ludu i kamaryli przedstawił nam w barwach jaskrawych. Nadmierne wysilenia jednostek ożywionych ideą wolności i braterstwa i tu nie odnoszą skutku, bo podkład jeszcze nie gotowy, lud nie dojrzały.

Dwa jeszcze pozostają utwory, na które chciałbym szczególniejszą zwrócić uwagę, ze względu na oryginalność pomysłu i widoczne cechy talentu poety. Są to wiersze „Romans“ i „Ostatnia godzina“. Ta rzewność uczucia, która tak wibitnie przebija się ze wszystkich utworów poety, ma tu szczególniejsze znaczenie. Poeta przedstawia kochankę, która żegna swego miłego, wyruszającego na wojnę, jak zdaje się do powstania:

„Mój Stasieńku, jak ci ślicznie, kiedy szablę masz przy boku,
„Jak twarz twoja się promieni, jaki zapał iskrzy w oku.
„Kiedyś mówił dzisiaj mamie o tej przodków ojcowiźnie,
„Której chwały bronić idziesz, zazdrościłam mej Ojczyźnie.
„Cóż ja winna, mój Stasieńku? Kiedy pójdziesz, mnie tu przecie
„Będzie pusto, tęskno, głucho, na tym pięknym bożym swiecie,
„Poschną kwiaty me w ogródku i dziewczęcia twarz uwiędnie,
„I nić życia Parka moja, chcę, niech chyżo mi wyprzędzie.
„Już i słonko jako dawniej, Stachu, mnie nie rozweseli,
„Ni śpiew ptasząt, co mi rankiem świegotają jak anieli,
„Przebudzenia cichą piosnkę, ni muzyka, ani tany,
„Bo daleko od tancerzy będzie Stacho mój kochany.
„Weź ten kwiatek, com dziś rano ja we włosy go wplatała,
„Piękny kwiatek, piękny, biały, jak twa dusza Stachu biała.
„I myśl o mnie. Ty powrócisz, wszak mówiłeś, choć po zgonie.
„O! ja wierzę, niechaj wówczas kwiat na twojem będzie łonie,
„Na twem sercu, Stachu luby, łza pamięci niech go rosi,
„Bo inaczej myśleć będę, żeś zapomniał o twej Zosi.

Lecz lat kilka upływa, a Stacho ukochany nie wraca. Zosia go oczekuje z tęsknotą i ma wizje; zdaje się jej, iż jej Stacho powrócił:

„Stach powrócił, mamo droga! dziś wieczorem, gdy w altanie
„Jego głos przypominało rzewne ptasząt mi śpiewanie,
„A na sercu kwiat miał, mamo, lecz nie biały, purpurowy,
„Od tej krwi, co ciekła z serca, był podarek ten wiosnowy,
„Twarz miał dziwnie piękną, bladą i niebiańskim krasną śmiechem.
„Ach! rozpaczać po nim, mamo, toby chyba było grzechem.
„Jemu lepiej tam, niż z nami.... Do klasztoru, pójdę, mamo,
„Prosić Boga, by pozwolił i mnie umrzeć taką samą
„Cichą śmiercią, i zobaczyć go w krainie wiecznej życia.
„Ach! patrz, mamo, nie chce Stacho klasztornego mi ukrycia.
„Chmurny stoi, już go nie ma... Więc mój Stachu wiem co zrobię:
„W białej sukni do ołtarza, ale w czarnej też żałobie
„Mego serca pójdę skoro, i wychowam takie dzieci,
„Co się pomszczą śmierci twojej; gdy mogiłę twą ukwieci
„Krew zwycięzców, gdy zdeptany znów powieje sztandar Lecha,
„Wówczas Stachu, patrzaj mamo, jak on cudnie się uśmiecha!...

Drugim takim utworem jest „Ostatnia godzina“. Więzień, który ma za Ojczyznę wstąpić na stopnie szubienicy, marzy w więzieniu w przeddzień stracenia. Cała natura dziś się weseli; świegot ptasząt dochodzi jego uszu, słonko świeci prześlicznie, wszystko doń się uśmiecha i wabi. Lecz dlań niema radości. Jakiś smutek i żal zalega jego duszę. I w tej chwili wspomnienia przebytych chwil odżywają w jego duszy. Widzi swą ojczyznę, słonko tam tak samo świeci; wspomina kochankę i rodzinę i taka żałość go ogarnia, że prosi słonka, by ono im zaniosło jego ostatnie pozdrowienia.

„Dalej słonko! dalej złote! nie trać czasu nadaremnie,
„Jaskółeczko, co świergoczesz, u żelaznych krat mej celi,
„Wstrząsasz piórkiem, wykąpanem w kryształowych wód topieli,
„Jaskółeczko! bież gdzie słonko do snu złotą kładzie głowę,
„I gdzie wichry przez rok cały jedne tylko dmą zimowe.
„Tam wśród ludzi, który będzie wlókł krok drżący, smętny, blady,
„Jak z marmuru dłonią mistrza wykowana myśl zagłady

„I wszechczucia, powiedz niech się myśli w nim ro-
[zwiną,
„Bo Ojczyzna żyje jeszcze! za Ojczyznę jeszcze giną!“

On w ostatniej swej chwili jeszcze nie zapomina o Ojczyźnie i śle braciom pozdrowienia, by nie upadali na duchu i walczyli na niezastygniętych jeszcze trupach poległych. Ale smutek tymczasem coraz większy zalega duszę jego:

„Gdy powrócisz piękna moja, zajrzyj w okno, pusto
[będzie,
„Ach! nić życia, tak się marnie, tak powoli, płocho
[przędzie!
„Patrzeć na świat piękny boży, i w piękności widzieć
[błoto,
„Dla wolności być stworzonym — a za wolność mrzeć
[hellotą!
„Ach! to marnie! Dalej słonko, na błękitne spiesz
[przestwory,
„Niech godzina moja przyjdzie, bom tak jakiś ser-
[cem chory.
„Tak mi pilno na świat inny, tak tu smutno w czar-
[nej celi,
„Choć tam dalej słonko świeci, uśmiechają się anieli.
„Z spowiednikiem ja noc całą rozmawiałem, on w nat-
[chnieniu
„O wolności przyszłej mówił i o świata przeznaczeniu,
„Przeznaczonoż, gdy od kwiatów tak się cudnie śmieją
[lica,
„Ptasze spiewa by tam w dali czarna stała szubienica?
„Wszak jam tylko dziewiętnaście razy kwiatów witał
[wonie,
„A raz tylko serce biło przy kochanki śnieżnem łonie,
„I raz tylko, o mój Boże! wiał przed okiem orzeł
[biały,
„I raz tylko jam oglądał dzień narodu swego chwały!
„Ach to marnie! Dalej słonko na błękitu spiesz' prze-
[stwory,
„Niech godzina moja przyjdzie, bom tak jakiś sercem
[chory.
„Tak mi pilno na świat inny, tak tu smutno w czar-
[nej celi,
„Lecz tam dalej słonko świeci, uśmiechają się anieli...

To było ostatnią pieśnią poety. Pierś ochrypła nie mogła już więcej wydać jęku żalu, ni boleści, nadziei ni pociechy. I umarł mając lat zaledwie dwadzieścia, złamany bólem i miłością, która obejmowała naród cały, wszystkie jego pokolenia i ziemie. A

„może jeszcze nie jedna pieśń spała w łonie,
„czasu jej wysnuć nie stało,
„prędko umilknął głos w jego strunie,
„szkoda, że spiewał tak mało...

Stanisław Kosowski.

Karol Rawicz Niedziałkowski.

Wspomnienie pośmiertne.

Przeszło całe pokolenie od powstania 1863 roku i większa część tych, którzy wówczas spełnili swój obowiązek względem Ojczyzny, legła już w grobie; ostatni uczestnicy wkrótce się połączą ze swoimi kolegami. Wiemy o tych, którzy się odznaczyli w boju, którzy ponieśli śmierć męczeńską na szubienicy, albo w dalekich kopalniach wschodu; ale nie brak i takich, którzy szczęśliwie uszli pogoni na wygnaniu, a nieprzestali służyć sprawie narodowej skromnie, bez rozgłosu, ale wytrwale i wiernie, i umarli z przekonaniem, że ich dzieci, wychowane w tych samych niezłomnych zasadach, będą dalej prowadziły rozpoczęte przez nich dzieło i będą wysoko podnosiły sztandar naszej niepodległości, przekazując go w spadku coraz nowym pokoleniom. Jednemu z tych cichych a wytrwałych pracowników należy się zaszczytna wzmianka.

Śp. Karol Niedziałkowski, urodzony dnia 1. lutego 1823 w rodzinnym majątku „Brodowo“, w powiecie pułtuskim w Królestwie kongresowem, w 12 r. życia utracił ojca, a w 15 matkę: niesumienna opieka pozbawiła go prawie majątku.

Nie chcąc wodzić się z rodziną po carskich sądach, zrezygnował z ojcowskiego mienia i wstąpił do Komisji skarbu w Warszawie 1 stycznia 1843 r. Kolejno przechodził różne stopnie w urzędzie aż do roku 1862, kiedy mianowany został przez Komisję spraw wewnętrznych komisarzem ekonomicznym na powiaty: kalwaryjski i marjampolski. Na rezydencję swoją obrał nowy p. komisarz to ostatnie miasto i zamieszkał tu sam, bez rodziny, gdyż małżonka jego, Józefa z Jurowskich, dla wychowania dzieci, będących w wieku szkolnym, zmuszoną była pozostać w Warszawie.

Zdarzyło się, że pewnego dnia, wkrótce po jego przybyciu na nową posadę, patrjotyczni mieszkańcy Marjampola i okolicy w procesjonalnym pochodzie ciągnęli na wozie, zaprzężonym w młodzież obojga płci, duży dębowy krzyż, który miał być postawiony za miastem, przy drodze, jako pamiątka dla poległych tu w bitwie, stoczonej z moskwą przez oddziały Puszety i Szona w. r. 1831, rodaków*).

Naprzeciw procesji zjeżdżała ze wzgórka nejtyczanka, ciągniona przez parę rączych rumaków,

*) Po dokonanych przez Moskwę strasznych mordach w roku 1861 na ulicach spokojnej Warszawy i po objęciu rządów cywilnego naczelnika kraju przez smutnej pamięci margrabiego Wielopolskiego, można było popełniać nawet takie „zbrodnie“, jak stawianie krzyżów poległym za wolność bohaterom.

a w niej siedziało 2. mężczyzn, z których jeden wyglądał na lat około 40, drugi zaś około 25-ciu.

Za zbliżeniem się nejtyczanki ku procesji, pierwszy z nich, dotknąwszy ręką ramienia powożącego, polecił mu skręcić na bok i stanąć, poczem obaj podróżni wysiedli i przedarłszy się przez tłumy do wozu z krzyżem, ciągnęli go razem z innymi aż na miejsce przeznaczenia. Podróżnymi tymi byli: nowo przybyły dygnitarz rządowy, K. Niedziałkowski i student warszawski, S. Katyl, który jako ajent centralnego komitetu narodowego i poborca podatku narodowego na województwo mazowieckie, przybył czasowo w te strony z polecenia komitetu z takimże ajentem na województwo augustowskie, Józefem Piotrowskim, celem poznajomienia go z osobistościami, znanemi z patrjotyzmu i zasługującemi na zaufanie.

Ten patrjotyczny czyn Karola zjednał mu odrazu serca wszystkich patrjotów nie tylko w Marjampolu i okolicy, ale w całem województwie augustowskiem.

Mimo bowiem wysokiej urzędniczej rangi, nie zapomniał on, kim jest i jakie są jego obowiązki, jako syna nieszczęśliwej Matki-Ojczyzny.

To też nie wahał się ani na chwilę i później w przyjęciu udziału w pracy organizacji narodowej i choć jako tak wysoki urzędnik miał prawo z wieku i urzędu sięgnąć po jedną z najwyższych godności w tejże organizacji i mógłby to był uczynić, gdyby się znajdował w którymś z centralnych punktów ruchu narodowego, — on jednak, mając obowiązki względem rodziny, przyjął posadę rządową w małem miasteczku na Litwie, a poprzestał w organizacji narodowej — tylko na tytule naczelnika tegoż miasteczka. Nie chciał bowiem wysuwać się na szerszą arenę polityczną, utrzymując, że wszędzie można być pożytecznym dla sprawy, a mniej zwracając na siebie uwagę wroga, można dłużej i skuteczniej działać na mniejszem, niż na większem stanowisku. I miał po części rację, bo jako naczelnik miasta Marjampola, zdziałał on swoją niezmordowaną energją i taktem bardzo wiele. Wszystkie oddziały powstańcze, operujące w powiatach: sejneńskim i marjampolskim, zaopatrywał w broń i amunicję, które przy współudziale piszącego w dostatecznej ilości napływały z sąsiednich Prus; i nie jednej klęski uniknęły tak oddziały, jakoteż i pojedyńcze osoby, będące na indeksie carskich siepaków, bo śp. Karol, który pozostając w dobrych stosunkach z miejscowym naczelnikiem żandarmerji moskiewskiej, wiedział zwykle naprzód o wszystkich zamiarach jego i dawał znać swoim o każdem grożącem niebezpieczeństwie. Tym sposobem bardzo wiele zasadzek, zamierzonych rewizji domowych, lub aresztowań zostało udaremnionych.

Nietylko jednak sprawę powstania miał on na sercu, ale z równąż gorliwością zajmował się także bardzo ważną dla kraju sprawą, powierzoną mu przez carski rząd, tj. podziałem gruntów i lasów, którą to czynność pełnił ku największemu zadowoleniu stron interesowanych.

Ale jak wszystko na świecie, tak i to musiało mieć swój koniec.

Przy schyłku powstania, kiedy krwiożerczy Murawiew-wieszatel zapuścił swoje zagony tak daleko, że już nie tylko pojedyncze osoby, których fizjognomje nie podobały się jego posiepakom, kazał wyłapywać, ale mieszkańców całych osad, na jego rozkaz spalonych i zoranych, zapędzał do tiurmy — musiała wyjść na wierzch i działalność Niedziałkowskiego.

Nie uszedłby też i on szponów tego potwora w ludzkiem ciele, gdyby nie wspomniana wyżej znajomość z naczelnikiem żandarmerji, który wogóle był niezłym człowiekiem i patrzał na wiele rzeczy, jak to mówią, przez palce.

Po zdemaskowaniu przeniewierstwa Niedziałkowskiego carowi, pozostało do wyboru: piekielne tortury i szubienica w Wilnie, albo też — tułactwo.

Wybrał to ostatnie i z dygnitarza został, jak i wiele tysięcy innych obrońców Ojczyzny, nędzarzem.

W r. 1864 dostawszy się wśród licznych i niebezpiecznych przygód za granicę, przebywał kolejno w Berlinie, Dreźnie i Szwajcarji, a nie chcąc uszczuplać funduszów swej rodziny, zarabiał na życie już to jako drukarz, już to jako fotograf.

W r. 1872 przybył do Galicji, gdzie początkowo pracował w zakładach Tęczyńskich; w miesiącu zaś czerwcu tegoż roku, dostał się do Wydziału krajowego we Lwowie w charakterze dyetarjusza. Po uzyskaniu obywatelstwa austrjackiego mianowany został asystentem, a następnie adjunktem w oddziale rachunkowym tegoż Wydziału krajowego. Po dwudziestoletniej gorliwej służbie, został w r. 1893 spensjonowany.

Jedynie troskliwa opieka przywiązanej rodziny utrzymywała go w ostatnich latach przy życiu, złamany bowiem wiekiem i ciężkiemi przejściami, chorował prawie ciągle, i nietylko nie mógł niczem się zajmować, ale potrzebował ustawicznej nad sobą opieki.

To też za wyjątkiem posiedzeń komitetu obywatelskiego i uroczystości narodowych, których prawie nigdy nie opuszczał, nie można go było nigdzie spotkać. Sprawy zatem narodowej, dla której żył i cierpiał, nie wyrzekł się aż do ostatka dni swoich i umiał oddać w godne ręce święty ten spadek.

S. K.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

„Ponieważ wszelkie prawa i przywileje Chodów wygasły oddawna, — ponieważ w r. 1668 nakazano im, Chodom, z całą surowością *perpetuum silentium*, to jest wieczne milczenie, oni jednak — wbrew temu nakazowi — ośmielili się żądać przywrócenia owych praw i przywilejów, — zasłużyli przeto na karę najsurowszą. Ciężkie przewinienie zostanie im wszelako przebaczone pod warunkiem, że w przyszłości nie będą już nigdy zgromadzać się na tajne narady, ani też wnosić lub posyłać jakichkolwiek petycji, czy skarg, pozostających w związku z domniemanemi prawami“.

Urzędnik czytał wśród grobowej ciszy, która z każdą chwilą stawała się głębsza, duszniejsza. Słuchacze zdawali się kamienieć ze zdumienia i grozy. Tam i ówdzie krzyżowały się jeno błyskawiczne spojrzenia, lecz usta, ścięte bólem, milczały. Im większą mieli nadzieję, tem okropniejsze wrażenie sprawiał zawód. Urzędnik skończył czytać i zamilkł, a jeszcze nikt zdobyć się nie mógł na słowo. Nagle straszną ciszę przerwał głośny okrzyk wzburzonej piersi:

— To nie prawda!

Pierwszy jęk wichru przed burzą. Jakoż zerwały się wnet i zahuczały potężne głosy. Były one odpowiedzią na urzędowy dokument i poparciem tego, kto wyrzekł pierwsze słowa: Jana Koziny. Młody gazda wysunął się z tłumu i stanął pod samem oknem. Głowę miał wysoko podniesioną, oczy płonące iskrami, gdy począł mówić wśród opadających fal wzburzenia.

— To nie prawda, nie może być prawdą! — wołał. — Gdybyśmy nie mieli żadnych praw, toby cesarz nie obiecywał naszym wysłańcom, że się nam stanie wedle sprawiedliwości i nie wyznaczał komisji do rozpatrzenia naszej skargi.

W odpowiedzi na śmiałe zaprzeczenie Koziny, Lamminger szarpnął się, jakby od żądła żmiji i wychylił przez okno, lecz musiał wnet się cofnąć, taki wrzask buchnął z podwórza.

— Dobrze mówi! Sprawiedliwie! — brzmiało najwyraźniej wśród jątrzących się, gniewnych głosów.

— Dyć przecie i nasi byliby nam donieśli, napisali! — wołał Ecl, zwracając się do ludu.

Naród huczał coraz groźniej i dobra chwila minęła, nim wysoki urzędnik cesarski, Hora, mógł przyjść do głosu.

— Kto z was podał skargę? — wołał z okna, zwracając się do ludu.

— My wszyscy! — Ja! Ja! — Każdy z nas! My wszyscy! — brzmiała jednozgodna, burzliwa odpowiedź. Tłum kołysał się i miotał, jako fale wzburzonego jeziora, mówiąc groźną postawą, że słuchać nie będzie. Hora zdołał jednak raz jeszcze przyjść do słowa i jął nawoływać do spokoju, przedstawiać, że sprzeciwianie się wyrokom sądowym pogorszy jeno ich położenie, zwłaszcza, że i tak ciążą na nich grzechy i winy, których się dopuścili, wypowiadając posłuszeństwo szlachetnie urodzonemu panu z Albenreuthu.

Ironiczny śmiech kilkunastu głosów usiłował mu przerwać w tem miejscu, mowca jednak nie dał się zbić z tropu i wołał podniesionym głosem:

— Rzeczy zaszły tak daleko, że wasz pan nie jest pewny życia śród was i musiał zażądać siły zbrojnej ku pomocy...

Wściekły wrzask przerwał mu znowu.

— Jakoże to?.. Kaz je to wojsko?

— Na nas wojsko? Strzelać do nas będą? Mordować!.. Ha, zbój! Kat!

I wnet nad głowami wzburzonego tłumu błysnęły ciupagi — jedna, druga, dziesiąta — i oto całym lasem się jeżą i zwracają ku pańskiemu oknu... Ale tam nie było już nikogo.

Lamminger zniknął.

— W imieniu jego cesarskiej mości! — wołał Hora, musiał jednak wołanie powtórzyć i długo jeszcze czekać, nim słowa jego znalazły posłuch.

— Wojsko było już na was zmobilizowane, lecz wasi wysłańcy wnieśli prośbę do tronu...

— Kto ich upoważnił do tego? Kto im dał moc? — zakrzyknął Ecl.

— Podpisali dokument, ułożony przez waszego adwokata.

— Przekupiony! Przekupiony! — wołano w zgromadzeniu.

— Czyńcie, jako się wam spodoba. Ale ja dobrze wam radzę. Usłuchajcie, spełnijcie swój obowiązek. Mam rozkaz odebrać od was przysięgę na poddaństwo, życzliwość i wierność miłościwemu waszemu dziedzicowi, szlachetnie urodzonemu panu z Albenreuthu...

Nie skończył: nie mógł. Wybuch dzikich wrzasków stropił w końcu i odważnego urzędnika.

— Mamy przecie dokumenty! Nie wydarliście nam wszystkich! — krzyczał Ecl, podnosząc twarz ku oknu.

— Nie będziemy przysięgali! — Nie! — Nikt nas nie zmusi! — brzmiały okrzyki tam i ówdzie, gdy nagle, jedno wołanie, potężniejsze nad wszystkie, wstrząsnęło powietrzem:

— Na Lomikara!

Był to głos Macieja Przybka.

— Na Lomikara! Ubić go! Posiekać — wołano do wtóru ze wszystkich stron.

Ciupagi śmignęły w powietrzu i Maciej Przybek, Brychta Postrzekowski, Szerłowski i wielu innych pogarnęło się ku drzwiom zamkowym. Ale szybciej od nich poskoczyli i stanęli na

stopniach ganku Kozina i Krzysztof Hruby. Wyrazista twarz starego Choda oblała się purpurą rumieńca, oczy miotały błyskawice. Był bez kapelusza, jeno w koronie śnieżysto białych włosów, które spływały mu aż na ramiona. Stanowcza chwila dodała mu sił i energji. Wyprostował się, jak struna, i ściskając ciupagę w prawicy, mierzył śmiałym wzrokiem nadpływający tłum.

— Ani kroku dalej! – zagrzmiał.

Dźwięk głosu i cała postawa starego Choda uderzyły nawet samego Macieja Przybka.

— Tłum zakołysał się raz jeszcze i zamarł w miejscu.

— Czegoż chcecie? — wołał Hruby. — Mordować? — Chodami jesteśmy, ale nie zbójami. Mord nie wróci nam praw wydartych...

— Ludzie, bracia, upamiętajcie się! — wzywał w ślad za nim Kozina. — Dyć wpierw trza się wywiedzić, azali to prawda, co nam odczytano... Hań, we Wiedniu rzetelnie nam powiedzą..

— Mamy jeszcze apelację przecie! — wołał Syka, który w jednej chwili znalazł się obok Koziny na schodach.

Wzniesione groźnie ciupagi jęły opadać. Rozważniejsi stanęli po stronie Hrubego, Syki, Koziny.

— A jednak, gdyby nie Hruby i nie Kozina, Lomikar ninie jużby nie dychał! — tłumaczył żałośnie Brychta sąsiadom, którzy go otaczali, usiłując uspokoić.

— I mielibyśmy już teraz święty spokój — dorzucił jakiś głos,

Maciej Przybek, blady z wściekłości na Hrubego i Kozinę, podniósł ku nim płonące oczy i wyszeptał głucho przez zaciśnięte zęby:

– Ha, będę jeszcze widział, jako sie wam Lomikar odwdzięczy!..

D. c. n.



Teatr japoński.

Tłómaczeniem legendy japońskiej o pięknej Usumie, tańczącej wielki taniec miłosny przed bóstwem Amaterassu, rozpoczął p. Kisielewski swój zajmujący odczyt o japońskim teatrze i o japońskim dramacie. Znany dramaturg ze szkoły „młodej Polski“, kładący silny nacisk na wrażeniową stronę wszelkiego przedstawienia rzeczy, usiłował w ten sposób za pomocą obfitości niezwykłych barw, blasków słońca, dziwnie gorących uczuć, wyrażających się po większej części w tańcu, oraz często powtarzających się imion i słów egzotycznych, odrazu wytworzyć dokoła słuchaczy swoich atmosferę, do której należała treść zapowiedzionego odczytu. Zarazem było w tej legendzie nawiązanie z historyczno-literacką treścią odczytu. Teatr japoński urodził się bowiem z tańca mimicznego, który i do dzisiaj jest najcharakterystyczniejszym wyrazem uczuć i zajmuje w życiu japończyka stanowisko nader poważne.

Teatr japoński, młodszy znacznie od chińskiego, sięga początkiem swoim XII. wieku po Chrystusie, w którym to czasie mniej więcej przeobraził się on w to, czem jest, z tańca maskowego.

Dzięki kastowemu ustrojowi społeczeństwa, rozdzielił on się niebawem na teatr klasyczny, w którym panowała tradycja dramatyczna i aktorska i teatr ludowy lżejszy, skłonny do innowacji. W jednym i drugim występywały początkowo kobiety razem z mężczyznami, a nawet bywało, że kobiety grywały męskie role. W siedmnastym wieku jednak wyszedł edykt mikada, zabraniający kobietom występowania w teatrze, co przyczyniło się do jego upadku, z którego dźwignął się znowu, ale już w naszych czasach po zniesieniu owego zakazu.

Kastowość Joponji sprawiła, że i w teatrze japońskim wytworzył się pewien rodzaj arystokracji aktorskiej. Dzięki temu, że sztuka przechodzi tu z ojca na syna, razem ze wszystkimi tajemnnicami i arkanami swoimi, nie może ona ulegać zbyt silnym wahaniom, utrzymując się na pewnym artystycznym poziomie. Tyczy się to osobliwie trup stałych, utrzymywanych przez Mikada, a za jego przykładem przez arystokrację, i złożonych z aktorów, chlubiących się rodową tradycją. Okoliczność ta ma tem większe znaczenie, dla tego, że aktor japoński, pomimo, iż gra role najrozmaitsze, musi być w dwóch kierunkach specjalistą, a mianowicie: w tańcu i w grze mimicznej. Dla tego to długiemu szeregowi przodków towarzyszy stale wyobrażenie o bogactwie doświadczenia w choreografji, sztuce charakteryzacji i w minie.

Pod tym ostatnim też względem doprowadzili aktorzy japońscy do takiego mistrzowstwa, o jakiem nie śniło się naszym Sarom i Eleonorom. Taki japoński aktor będzie w trzech aktach grał trzy rozmaite osoby i nikt nie pozna, ani

po zewnętrznej postaci, ani po głosie lub ruchach, że to jest jeden i ten sam człowiek. Przyczynia się do tego niesłychana obfitość środków mimicznych, na którą publiczność japońska kładzie taką wagę, że na scenie, podczas przedstawienia obok dobrego aktora noszą lampiony, aby wyraźnie można widzieć grę jego twarzy. Z tego samego źródła pochodzi też dbałość o garderobę i probierzem dobroci aktora japońskiego, może być do pewnego stopnia bogactwo jego garderoby. Klasyczny aktor japoński przywiązuje też do tego wagę, graniczącą niemal z czcią. Gdy pewnemu takiemu aktorowi skradziono raz kufry z garderobą, nie chciał jej już potem używać, choć się znalazła, gdyż zdaniem jego sprofanował ją złodziej. Stąd też pochodzi, że wyrocznią mody w Japonji jest teatr, a nie jak u nas krawiec lub modniarka.

Oczywiście, że dotyczy to głównie teatrów stałych, gdyż aktorów wędrownych wyższe klasy japońskie uważają za pospolitych histrjonów. Trupa taka przybywszy do jakiejś miejscowości, rozkłada obóz nad brzegami rzeki, gdzie wnet zbiega się publiczność, już o wschodzie słońca i bawi na przedstawieniu przez cały dzień, przyczem, ani na chwilę, nie przerywa się kontakt publiczności ze sceną. Publiczność obdarzona bardzo bujną wyobraźnią i eo ipso skłonna do wzruszeń, nic sobie nie robi z drobnych rzeczy, mogących jej psuć iluzję. Czego nie potrzeba widzieć, tego nie widzi, biorąc tak żywy udział w akcji na scenie, że płacze, cieszy się, śmieje, jakby sama brała udział w jakichś rzeczywistych zdarzeniach. Czterej żołnierze są dla niej armią, dwa stołki ustawione na sobie niebotyczną górą, aktor z pośród publiczności wchodzi na scenę, by wziąć udział w akcji, a ona obsypuje go z entuzjazmem komplementami i podarkami.

Zajmującym jest też sposób tworzenia się dramatów, które odbywa się publicznie. Ktoś ma jakiś genjalny pomysł i biegnie z nim do dyrektora teatru. Ten zaczyna go układać w fabułę, a ponieważ słucha go przytem wielu jeszcze innych japończyków, z których każdy ma genialne pomysły, więc każdy z nich dodaje do tego coś swego. Tak powstają sceny jedna za drugą, które aktorzy uzupełniają ciągle już podczas grania sztuki, improwizując drobne epizody i szczegóły djalogu pod wpływem przejmowania się rolą.

Mimo te ciągłe zmiany djalogu nie ma na przedstawieniach nigdy żadnych nierówności, bo aktorzy japońscy nader szybko orjentują i wżywają się w te, na poczekaniu wytwarzane sytuacje. Można nawet powiedzieć, że dzięki tej improwizacji gra nabiera jeszcze silniejszego życia rzeczywistości, co jest tem potrzebniejszem, że wypadki przedstawiane w sztukach japońskich są zazwyczaj wcale nieskomplikowane. Oto na próbę streszczenie takiej tragedji japońskiej:

Wśród przepaścistego leśnego krajobrazu zjawia się pięciu zbójców, którzy następnie kryją się w lesie. Na drodze zjawia się młoda dziewczyna w towarzystwie starej kobiety. To Keza dziewica, czysta, spragniona miłości i czekająca na jej rumieniec. W tem z ukrycia wypadają zbójcy i błysnąwszy nożami ranią starą kobietę, a Kezę unoszą. — Pauza. — Nadchodzi rycerz Morito, a dowiedziawszy się od rannej o tem, co się tu stało, uderza się po szabli i postawszy chwilę w milczeniu odchodzi, widocznie, aby Kezę wyrwać z rąk zbójców. Na tem się kończy akt pierwszy.

W drugim akcie zbójcy zgromadzeni w swojej jaskini, a starszy ich patrzy pożądliwie na skrępowaną Kezę. Każe ją rozwiązać... niech tańczy. Ona niechce tego czynić wobec zbójców, ale potem uczyniwszy kilka kroków, rzuca się z nożem na starszego, aby go przebić. Po nieudałym zamachu tańczy jakiś szalony taniec, poczem rzuca się w bok, i chce uciekać. Zbójcy łapią ją jednak, wiążą i chowają. Zjawia się rycerz Morito i rozpoczyna się nierówna, długotrwająca walka, podczas której ucieka Keza.

W trzecim akcie Morito przybywa do domu Kezy, aby ją poślubić, ale tu dowiaduje się od jej matki, że wyszła już za Watawanę. Morito chce się zemścić, ale Keza uspokaja go zapewnieniem, że go kocha i powiada, że lampa osłonięta welonem będzie dla niego znakiem, żeby przyszedł i zabił Watawanę.

Akt czwarty rozpoczyna się sceną, w której Keza odchodzi od śpiącego Watawany z welonem w ręce. Nagle wstrząsa nią łkanie, Keza budzi męża, wysyła go pod jakimś pozorem do ogrodu, a następnie osłoniwszy lampę welonem sama kładzie się na jego miejscu i okrywa się kołdrą tak, że sterczą z pod niej tylko drobne jej nóżki. Wchodzi Morito z nożem w ręce i po chwili wahania — czy można zabijać śpiącego — zadaje cios. Po rozpoznaniu błędu, wpada w rozpacz, kaleczy sobie najprzód rękę, którą zabił Kezę, a potem rozpruwa sobie brzuch i przecina gardło.

Burzą oklasków kończy się dramat, w którym jak z tego widać, dzieją się rzeczy, wprawdzie straszne, ale dość przytem naiwne. Mimoto prelegent, który streszczał go, deklamując, ze zmienianiem głosu, z pauzami i z wplataniem w antraktach swoich własnych rozmów z jakąś studentką paryską, jest zdania, że to wszystko jest ogromnie wzruszające i szczere. Uważając się za przesycone naturalizmem, dziecię z końca XIX. stulecia, poczuwał on się do obowiązku uwielbiania tej odświeżającej w swojej naiwności, egzotycznej prostoty, jaka cechuje japońską sztukę dramatyczną. Czuć to było zarówno w przejęciu się, z jakiem kreślił teatr japoński i w deklamacji, jakoteż i w wybuchach zniecierpliwienia, z jakiem traktował artystyczno-banalne uwagi swojej towarzyszki, podczas przedstawienia w teatrze.

Z pism i książek.

Przegląd Filozoficzny. Rocznik III, zeszyt 4. Warszawa 1900, str. 1—128.

W ostatnich czasach z łatwością przekonać się można, iż nasza inteligencja, ogół nasz wykształcony, coraz więcej interesuje się filozofją. Ruch umysłowy w tym właśnie kierunku wzrastający u nas, — czego dowodem poczytność pięknie rozwijającego się kwartalnika, poświęconego temu odłamowi wiedzy, „królowej nauk", „Przeglądu Filozoficznego", — jest w bezpośrednim związku z rozwojem studjów filozoficznych i szerokiej ich popularyzacji na Zachodzie. Nasz „Przegląd Filozoficzny", którego zeszyt czwarty, zamykający rocznik trzeci świeżo wyszedł z druku, umiejętnie prowadzony z wielkim nakładem pracy i starań przez dr. Weryhę, zyskał sobie w krótkim czasie dobre imię tak wśród specjalistów, uczonych, jak i u szerszego ogółu. Całkiem więc zasłużenie podczas *Zjazdu IX. lekarzy i przyrodników polskich* w Krakowie latem b. roku, na „Wystawie przyrodniczo-lekarskiej", pomiędzy innemi pismami specjalnemi — otrzymał dyplom honorowy.

Czwarty, ostatni zeszyt z b. r., omawianego przez nas kwartalnika, zawiera rozprawy: „Połączenia chemiczne ze stanowiska teorji poznania", dr. Wł. M. Kozłowskiego (str. 1—10). Rzecz ta komunikowaną była w sekcji psychologicznej podczas *Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich* w Krakowie.

„Geneza pojęć" dr. W. Biegańskiego (str. 11 do 25), artykuł stanowiący dalszy ciąg pracy tegoż autora p. t. „Studja logiczne", zamieszczonej w zeszycie drugim pierwszego rocznika „Przeglądu Filozoficznego". Rozprawa p. t. „Analiza psychologiczna ambicji", W. Witwickiego (26—49) jest pracą seminaryjną, pochlebnie świadczącą o działalności pedagogicznej profesora lwowskiego uniwersytetu Kazimierza Twardowskiego, szeroko znanego u nas z prac zakresu psychologji doświadczalnej.

Ad. Mahrburg zamieścił w tymże zeszycie dokładną i pochlebną wogóle recenzję obszernej, „pożądanej i pożytecznej" pracy dr. Rudolfa Eislera p. t. „Wörterbuch der philosophischen Begriffe und Ausdrücke quellenmässig bearbeitet". (Berlin, 1900).

Wymienimy tu jeszcze dokładne recenzje: dr. S. Grabskiego dzieła F. G. Masaryka: „Zaklady Marxismu sociologické a filosofické" (Praga, 1898) i L. Brzozowskiego: Rudolf Stammler „Recht und Wirtschaft nach materialistischer Geschichtsanfassung" (Leipzig, 1896).

Ciekawą jest polemika pomiędzy dr. Wł. Heinrichem a Ad. Mahrburgiem (str. 62—84) z powodu przedmowy tego ostatniego do książki Ziehena p. t. „Zasady psychologji fizjologicznej". (Warszawa 1900). W rubryce „Autoreferaty" dr. Zofja Daszyńska-Golińska zaznajamia czytelnika z treścią dzieła swego p. t. „Przełom w socjalizmie" (Lwów, 1900).

Kończy zeszyt podanie treści referatów, odczytanych w *Sekcji psychologicznej IX. zjazdu przyrodników i lekarzy polskich* w Krakowie (dr. Wł. M. Kozłowskiego), „Przegląd czasopism" (Zeitschrift für Philosophie und Philosophische Kritik) i nader obszerna bibljografja dzieł z zakresu filozofji w szerokim znaczeniu tego wyrazu.

Nie możemy tu powstrzymać się od kilku uwag, dotyczących strony zewnętrznej omawianego wydawnictwa. Numeracja stronic zeszytów jest dla każdego z nich oddzielna, t. j. wszystkie cztery zeszyty, stanowiące właściwie tom jeden, nie łączą się zewnętrznie za pomocą numeracji stronic w jedną całość. Można by było się z tem jakoś pogodzić, jeśliby do każdego zeszytu dodawaną była karta tytułowa ze spisem zawartości zeszytu i wskazaniem stronic, — lecz tego również niema. Prawda, że na okładce zewnętrznej podaną jest treść zeszytu, lecz bez oznaczenia stronic, a ten właśnie brak utrudnia odszukanie żądanego artykułu, którego tytuł wymieniono na okładce, w dodatku zaś ta ostatnia nie nadaje się do oprawy z powodu swej grubości.

Za rzecz więc konieczną uważamy wprowadzenie nieprzerywającej się, ciągłej numeracji stronic zeszytów, zaczętej od pierwszego, a kończącej się na czwartym, czyli ostatnim w roczniku, zeszycie; następnie do każdego rocznika dodanem powinien być dokładny spis rozpraw, recenzji itd. wraz z oznaczeniem stronic i odpowiednia tytułowa karta. *Henr. Ul.*

Z ruchu społecznego.

— Kobiety angielskie już od dość dawnego czasu walczą o prawa polityczne. Kwestja przyznania im czynnego prawa wyborów do parlamentu w ostatniem dziesięcioleciu już dwa razy była przedmiotem rozpraw w izbie gmin, a za drugim razem, w ciągu ostatniej kadencji, rozstrzygnięta została na ich korzyść, jednakże izba lordów tej uchwały nie zatwierdziła. Kilkakrotne porażki nie zniechęciły ich jednak do dalszej walki. Przed obecnemi wyborami wydały one odezwę, wzywającą wszystkie kobiety, by użyły swego wpływu na kandydatów do parlamentu dla przekonania ich o konieczności dopuszczenia „matek narodu" do bezpośredniego oddziaływania na jego politykę. Odezwę tę podpisało 12 kobiet z różnych sfer, między niemi dwie „lady's" i jedna żona baroneta. Jakkolwiek na pozór wydaje się ona głosem bezsilnym, w istocie jednak nim nie jest. Kobiety angielskie już od dość dawna wywierają wpływ na sprawy kraju przez swą działalność w instytucjach publicznych i politycznych związkach. Każde miejscowe stronnictwo posługuje się ich pomocą; w pierwszym rzędzie zaś stronnictwo konserwatywne, które przez znaną kobiecą Primrose League (Ligę Pierwiosnka) szerzyło dążności unionistyczne, a przez organizowanie żeńskich stowarzyszeń robotniczych pod kierunkiem pań z arystokracji, zapewniało sobie poparcie klas pracujących. Choć oficjalnie niedopuszczone do urny wyborczej, stanowią więc Angielki i dziś już czynnik polityczny, z którym do pewnego stopnia reprezentacja kraju się liczy.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul Kopernika 5.